

*Rok Grunwaldzki na zamku w Malborku*  
Konkurs literacki *Mój Grunwald*

Kategoria II

**MIEJSCE I**

Olga Banaszyńska

**„Dziwny jest ten Wschód”**

*z relacji dwóch rycerzy, co świadkami wydarzeń w 1410 r. byli*

Wezwał mnie Zakon Krzyżacki. Azaliż wyruszyć z kraju mego urodziwego, co nad bystrą i czystą rzeką Sekwaną się znajduje a winne tam rosna krzewy, ażeby oddać los swój w dzielność swych braci, opiekę Boga, patronującemu walecznym i siłę miecza mego, i wypełnić swój obowiązek chrześcijanina, sługi pańskiego, a także syna rodu znamienitego? Swe waleczne serce w walce ukazać, wojując z dzikimi plemionami niewiernych. Najbardziej bowiem miłując swą wiarę, nawrócić ich dopomogę, by bożki swe drewniane spalili i Krzyż Pański jedynie wielbili. Poprzysiągłem na herb mój, a honoru przodków nie splamię, jak długo żywym, choćby i mieczem drogę utorować panu Jezusowi, którego światłość oślepi pogan i da im szansę do nawrócenia jak Pawłowi Świętemu w drodze do Damaszku, jak to w Biblii pisali. Tak mi [i pobratymcom] dopomóż Bóg!

Krzyknąłbym „Amen!” przy wyjeździe, lecz tak się nie stało. W milczeniu na koniu pocwałowałem, na Wschód, tam gdzie słońce rano wstaje, do krain lesistych i dzikich, ponoć jednak bogatych w zwierzyne, co bardzo się chwali, gdyż do polowania, zawsześmy chętni.

Długa to była droga, pełna niewygód i niebezpieczeństw czających się na każdym kroku, zem jednak nie uląkł się i po wielu dniach podróży po drogach niemieckich dotarłem szczęśliwie do celu – do Malborka.

Dziw nad dziwy ten Malbork. Wyrósł jak góra pośród tej dziczy i świeci niby perła w koronie Wschodu. Licha ta korona, lecz perła sama to taki płomień mądrości Zachodu.

Malbork był bowiem zamkiem niezwykłym. Gdy go moje oczy pierwszy raz ujrzały, nie mogły się nadziwić.

„Cóż to?” – pomyślałem – „Na zacofanych tych ziemiach takie budowle powstają? Niech Bóg błogosławi Zakonowi Panny Maryi od najświętszego Jezusa Pana, za te dobre uczynki, cóżeś uczynili oni tutaj”.

Nie tylko ja taki pomyślunek uczyniłem, ale także inni moi towarzysze. Wjeżdżając do fortecy, podziwialiśmy mury grube, mocne z cegły czerwonej. Wrażenie one nadawały budowli niezwykłej. Twierdza, jak nam później powiedzieli, składała się z zamku niskiego, średniego i w końcu wysokiego. Podział taki ułatwiał życie nad tak dużym obszarze.

Przywitano nas serdecznie, gdy tylko wjechaliśmy. Zagrały trąby. Wieczera suta była. Tradycją chleb nam wypieczony dali i wina dużo dobrego. Wielki udziec dzika dostał mi się w udziale, gdy podano go wypieczonego na stół biesiadny. Dorodne było to zwierzę, mięso jego smak miało inny niż nasze, takie... dzikie. Zaraz ktoś zakrzyknął, że brat to jego

upolował, a my zachwyceni tutejszą zwierzyną już plany robiliśmy na najbliższe dni. Nie pozostając dłużnymi wobec gospodarzy, wyciągnęliśmy lutnię i towarzysząc naszemu, z nad granic Hiszpanii, chwycił ją i grać i śpiewać w swym ojczystym języku zaczął, a my chórem się do niego przyłączyliśmy. Wznosząc zdobione puchary, śpiewaliśmy o wielkich wojach, co życie swe oddali w obronie Krzyża i modląc się, by i nam ten zaszczyt przypadł. Weselili się wszyscy, i gospodarze, i my wędrowcy chwając w śpiewach imię Pana Boga Jedynego. Dzbany trunków przez stół się przewijały, nawet gdy już miodu zabrakło do zagryzania z chlebem, a myśmy do siebie serdecznie uśmiechnięci, uznaliśmy ten wieczór ważny za umocnienie naszej przyjaźni.

Sen niespokojny miałem i wydawało mi się, że widzę w marach moich postać świętego, który to powiadał mi, żebym kogutowi głowę odrąbał, by ją oddać zgłodniałej kowie, której mleko później dać miałem własnemu koniowi, aby się on mieczy, strzał i rozlewu krwi na polu walki nie bał. Zbudziłem się szybko i zaraz mego druha, pochodzącego z północnych obrzeży kraju mego, co razem ze mną izbę dzielił powiadomiłem o prorocztwie, które wyśniłem.

-... rzecz to niespotykana, takie słowa we śnie usłyszeć. To jak przepowiednia brzmi mój bracie, rozkaz z Góry samej, bym cudu dokonał w postaci mego konia – zakończyłem swą wypowiedź, oczekując radosnego odzewu towarzysza, lecz westchnął tylko i odrzekł mi tymi słowami:

- Nie jak przepowiednia, ale jak zabobonne przesady pogan to brzmi. Opamiętaj się, powiadam ci. Pewnie żeś wina za dużo wypił albo na głowę upadł, gdy próg izby przekraczałeś już niepewnym krokiem. Dobranoc i niechaj ci się ładniejsze przyśnią sny.

Gdy to powiedział, odwrócił się do mnie plecami i zasnął. Jego odpowiedź oburzyła mnie i dotknęła dogłębnie. Jak taki młokos ma prawo mówić mi prosto w twarz, że upiłem się i porównywałam mnie do tych niewiernych, rytuały nieczyste odprawiających?! Zawahałem się jednak nad moimi planami spełnienia prorocztwa. Jak bowiem zareagują inni ziomkowie?

Nastał kolejny ranek i wielu rycerzy przybyłych wczoraj do zamku, cierpiało na okropny ból głowy, szczęśliwym losem, nie byłem to jednak i ja. Bracia zakonnicy zajęci byli, więc oprowadzić nas po swojej fortecy czasu nie mieli, a samemu lepiej nie chodzić tutaj, z przyjaciółmi postanowiliśmy zwiedzić włości pobliskie. Na konie wsiedliśmy i popędziliśmy galopem przed siebie. Wyruszyliśmy na północ, z nadzieją, że to morze to, sławione od niedawna jako Bałtyckie, nie tak daleko leży od Malborka. Celem naszym Gdańsk był, miasto daleko od Zachodu położone, lecz sławne i bogate, co pewnie zawdzięcza nie ludziom Wschodu, lecz narodowi niemieckiemu, licznie zamieszkującemu ten gród. Ziemię tę bowiem jeszcze 100 lat temu do przywódcy plemion polskich należała i wciąż ponoć wielu Polaków tu mieszkało.

Przed nami rozciągały się widoki długie, skąpane w słońcu letnim. Ziemię żyzną tu być musiały, gdyż pola liczne drogę nam przecinały. Widzieliśmy pacholek na pola idących i szeptających coś między sobą na nasz widok. Jeden z kobietą szedł drogą najpierw, a potem sam chłop w pole ruszył i krzyknął do żony swojej:

- Maryla, ać pilnuj ty bydłęcia dobrze, bo dzisiaj nie możesz poczywać!

Mijaliśmy po drodze wozy kupieckie, wyładowane przyprawami, tkaninami i innymi przydatnymi rzeczami, i chłopaka młodego co na białym rumaku pędził, posłańca chyba, bo bardzo mu się spieszyło.

A dalej wioska była. Lecz cóż to, kolejne dziwy! Nad chałupami słowiańskimi drewniana wieża kościelna się wznosi! Plotki to u nas krążyły, że tu wciąż pogan pełno, lecz po co by mieli Świątynię Pana nad swoimi głowami budować? Zasluga to być może Zakonu, co nawrócił ich na ścieżkę, jedyną, sprawiedliwą, jak to w pieśniach śpiewają.

Godzina i jeszcze jej pół minęło odkąd zamek opuściliśmy, zatem wjechać do wioski postanowiliśmy. Z kominów dym się unosił, parobek stał przed drzwiami pierwszej chaty i drewno rąbał. Najstarszy brat nasz, znający dobrze język niemiecki zakrzyknął do niego:

- Słuchaj no, co to za miejsce?

Przestraszony pacholek, spojrzawszy najpierw na zbroje nasze lśniące, potem na miecze schowane w pochwach czarnych i odrzekł niepewnym głosem:

- Liessau
- A cóż to za kościół?
- Mikołaja Świętego

Odłożył lekko siekiere i widząc, że nic już od niego nie chcemy, do chałupy swojej się schował. A my tymczasem dalej pojechaliśmy. Żywa to była wioska i duża dość. Ludzie głośni, wyzwiskami na siebie rzucali w swej niemelodyjnej gwarze. Co rusz słyhać było bowiem:

- Choćta tu szybko, bo trza kurę złapać!
- Jeno wam matula powiada, wy braty rodzone, jak paskudniki dwa się zachowujecie!

Milkły jednak wrzaski, gdy zobaczyli jak my sami przez ich wioskę przejeżdżamy. Ciche tylko szepty za naszymi plecami.

Zgłodniali po wrażeniach tej krótkiej podróży, poszukiwaliśmy gospody na naszej drodze. W cieniu wierzb wysokich ją ujrzelśmy, tuż przy wioski wylocie. Drewniana, jak reszta tu domów, ale porządnie zbudowana. Tłoczyło się w niej najwyraźniej dużo osób, bo słyhać ich było już na dworze.

Weszliśmy do środka w osób liczbie pięciu i wzrok nasz przykuła różnorodna ta mieszanina. Po kątach jakie upiory w kapturach, paru handlarzy w kuflami wysokimi przy stole siedziało, grupka zwyczajnych parobków co się tłumiła wokół kaleki jednego, co sześć dziesiątek na barkach już swych niósł, a strój miał zniszczony i płaszcz podróżny stary, lecz bogato wyhaftowany, czym się wyróżniał w tym prostackim tłumie, i widać po nim, że z wyższego stanu, choć teraz sakwę pustą pod sercem nosił. Gawiedz zabawiał swoją opowieścią o bitwie jakieś dawnej.

- Dziad mój – powiadał – był tam wtedy, gdy król Władysław, co go Łokietkiem zwane, z powodu wzrostu jego, miecz swój skrzyżował z wojskami marszałka Altenburga, pod Płowcami. Jak pisał Krzyżaków kronikarz „rycerze słyżeli się, ale nie mogli się zobaczyć”, taka mgła tam wtedy była. Wtenczas okrzyk „Kraków!” na polu rozbrzmiał. Rycerze Łokietkowi do boju ruszyli, aż sam się krzyżak ich wielką liczbą zdziwił!

Historija jego bardzo się tłumowi podobała, choć niektórzy z nich widać, nie wiedzieli, o co w niej chodzi. My chcąc spróbować słowiańskich specjałów poprosiliśmy o izbę osobną, by w spokoju smakować jadła. Karczmarz nas zaprowadził do izby obok, skąd ciche rozmowy nas dochodziły. Przy stole małym, tuż przy ścianie ksiądz starszy, z brodą przerzedzoną i zmęczonym spojrzeniem, pewno proboszcz kościoła pobliskiego siedział i paru braci zakonnych, co jeden z nich na zwykłego pustelnika wyglądał. Obok nich jakiś możnowładca, choć peleryna jego krój miała mylący, złote pierścienie na palcach potwierdzały pozycję. Szeptali coś między sobą, zapisanymi kartkami szelest robili, coś sobie na mapach niekształtnie narysowanych pokazywali. Gdy nas zobaczyli, ucichli na chwilę i skinęli głową na powitanie. My przy drugiej ławie usiedliśmy, a oberżysta podał nam strawę zamówioną i piwa dużo, musującego i w zielonych odcieniach. Zdrowo z kufla łyknęliśmy i nie myśląc o towarzystwie z boku, gawędzić wesoło zaczęliśmy przy skromnej uczcie co na stole stała, a smak jadła całkiem zjadliwy, piwo zacne jeszcze bardziej. Wtem huk nagły się rozległ ryk gniewny, niczym rozwścieczonego niedźwiedzia.

- Gdzie oni są?! – wrzeszczał ktoś. Kolejny huk i drzwi od izby naszej wypadły z zawiasem. W przejściu stanął rycerz wielki ze sztyletem krótkim w ręku. Oko jego podbite i fioletowe niczym śliwy w lecie, usta rozcięte, szaty poszarpane.

- Wy psy niemieckie! – krzyknął wzburzony w naszym kierunku – Wy niewierne sługusy Pana! Najpierw mnie okradacie, a teraz rodzinę mi zabieracie! Coście z moją żoną i synami zrobili?! Odpowiadajcie!

Ryk jego w głuchy szloch się zamienił. Rzucił się na nas bez opamiętania, jak szalony, lecz my miecze już mieliśmy w pogotowiu, by z niegodziwcem, spokój oberży niszczącym, się rozprawić. Najmłodszy z towarzyszy moich, który to izbę ze mną dzielił podczas goszczenia w Zakonie, stał najbliżej niego, więc to on odpowiedział na atak jego. Umiejętnie cios sparował i przy uderzeniu następnym powalił przeciwnika swego na ziemię, w momencie tym brawura opuściła go, a lęk w oczach pojawił się. Mężczyzna ten najpewniej za braci krzyżackich nas wziął, z powodu strojów

naszych i tego, iż z gospodarzem po niemiecku mówiliśmy. Przyjaciel mój, sąsiad w kraju rodzinnym, średni ze starszeństwa, chcąc go z błędu wyprowadzić, rzekł do niego:

- My nie z Zakonu, lecz tylko w Zakonie gościmy, jako posłańcy króla francuskiego, przyjaciela wszystkich w wierze.

Cichy pomruk rozszedł się po całej gospodzie. Stary gawędziarz odruchowo chwycił klingę miecza, ukrytego pod płaszczem, wielmoża pod stół rękę wsadził, karczmarz zdenerwowany do szynkwasu się cofnął. Ludzie do bójki byli gotowi w każdej chwili.

„Cóż za dziwny naród!” – pomyślałem w tamtej chwili – „Niewinnych podróżników bez powodu atakować chce im się!”

Znów młodzik podniósł miecz, zaatakować gotów. Przywódca nasz, najstarszy położył mu jednak rękę na ramieniu i przemówił do niego:

- Spokój nas towarzyszu uratuje, nie przemoc brutalna – a potem do nas się zwrócił – Pora już chyba dalej ruszać.

Protestować chciałem, bo jak to tak płazem puścić taką zniewagę?! Pragnąłem by pomylenie ten, co teraz w kącie się tulił u proboszcza nóg, poniósł karę za obelgi, które na nas, na Krzyżaków i Boga Jedynego rzucał! Już słowa sprzeciwu miałem na ustach, gdy spojrzał na mnie przywódca, spokojnie, lecz stanowczo i powtórzył słowa swe bezgłośnie, specjalnie dla mnie. Opuściliśmy posłusznie gospodę pod nieprzyjawnymi spojrzeniami ludzi, wsiedliśmy na konie i ponownie ruszyliśmy w drogę. Pocwałowaliśmy w kierunku północnym, najedzeni, lecz zniesmaczeni sytuacją, jaka zaszła w gospodzie.

Czas mijał szybko na rozmowie miłej z współtowarzyszami. Głośno zastanawialiśmy się jak wyglądać może to miasto Gdańsk, wspominając miasta francuskie przy tym. Tylko najmłodszy znów nic nie mówił i ze spuszczoną głową w siodło się swe wpatrywał. Zagadka dla mnie, cóż w tym siodle takiego interesującego było?

Gdy parę godzin już po południu było, a na drodze zaczęło się coraz więcej ludzi pojawiać, wiedzieliśmy, że do celu się zbliżamy. Już z daleka zobaczyliśmy fortyfikacje otaczające miasto, z licznymi, wysokimi basztami. W oddali rysowały się także sylwetki innych budynków, z których wyróżniały się wyraziste wieże kościelne. A im bliżej miasta podjeżdżaliśmy, tym większy ruch na drodze nastawał. A jakże różnorodny był to tłum. Od zwykłego pospólstwa, przez żebraków co krążyli wkoło o kromkę chleba prosząc, po panów wykwitnie wyczesanych ze sługami u boku. Liczne wozy kupieckie w kolejce stały przed bramą, by je wartownicy wpuścili. I my nawet, na koniach i w ubiorach cudzoziemczych, gubiliśmy się w tej kolorowej masie. Gdy już przepuścili nas strażnicy, oczom naszym ukazała się ulice długie i rzędy domów i kamienic najróżniejszych. Rzemieślnicy w swych zakładach pracowali wciąż wytrwale, kramarze zachwalali swoje produkty, dziewczki z targu powracały, a dzieci jakieś między starszymi biegały. Miasto dość duże, lecz takie...

- Zwyczajne? – spytał się przywódca – A cóżś myślał? Złotego cielca na rynku ustawionego? Ołtarzy na krwawe ofiary? Może i Wschód, ale tu wciąż dalej Europa!

Tak jak myśleliśmy piętno swe Krzyżacy tu odcisnęli. Wieżycy kościołów różnych widzieliśmy, gdy przez miasto przechodziliśmy, a na Bazylikę Mariacką, jak ją tutejsi zwali, natrafiliśmy, aż ze zdumienia oddechu pełnego do płuc nabraliśmy. Wciąż w budowie, wszakże jak okazała się prezentowała. Gotycki styl w pełnej swej krasie, choć Notre Dame to nie było, widać dzięki temu, że nawet na ziemiach tych zacofanych coś ładnego powstać może. Wielka to była budowla, potężna i przygniatająca swym majestatem, z ciemnej cegły zbudowana. Tylko najmłodszy z grupy naszej na zachwyconego nie wyglądał, a zmarkotniał chyba jeszcze bardziej gdy kamienice piękne mijaliśmy, a nawet dworek mały, co go nazywali dworem Artusa, od Artura, króla legendarnego z za morza. Gdy wieczór zbliżał się, zajazdu szukać zaczęliśmy, a gdy nasze poszukiwania trwały, Żurawia drewnianego żeśmy mijali. Nasza wyprawa następnego dnia się zakończyła, gdy do Malborka powróciliśmy, tym razem nie robiąc postojów na drodze. Tam już pozostaliśmy, przynajmniej większa część z nas, do bitwy nadchodzącej się przygotowując. Oczekiwaliśmy dni walki, w której chwałę nam będzie zdobyć i pobić te pogańskie, zakłamanie twarze.

\*\*\*

Okrutni barbarzyńcy, banda dzikusów nieokrzesanych, niewierni Panu Jezusowi, wciąż składający hołdy Słońcu, ogniovi i wodzie. Takie plotki wciąż docierały do nas przez granicę. Zakon nie szczędził słów potępienia dla nich. Takich właśnie poznałem Słowian. Lecz o jakim poznaniu mogła być mowa, gdy ich na oczy nigdy nie widział. A gdy nadarzyła się okazja podróży, wyjechałem, jako najmłodszy z uczestników, horyzonty wąskie swe poszerzyć. Nie wyruszałem na „krucjatę”, jak to inni określali, nie widziałem dla siebie roli jako krzewiciela wiary, chciałem poznać świat. Jak bracia moi niezwykle się ekscytowałem. Cóż to bowiem za dziwoty czekają nas w tych puszczech dzikich? Tylko najstarszy z naszej grupy, co liczyła pięćdziesięciu męża, człowiek stateczny i głęboki w wierze, opiekun mój i nauczyciel, uspokajał:

- Może i poganie, może i nie, tego nie wiem, ale wciąż to ludzie. A każdego człowieka Bóg na swoje podobieństwo stworzył, więc i oni to nie jakie dziwne stwory, tylko pewno do nas podobni są. Wyśmiali go wtedy, pamiętam, choć nie głośno. Ja milczałem.

Malbork, i tu z towarzyszącymi się zgodzę, zamek wspaniały, lecz co z tego gdy pełen zawiści. Zawiści kierowanej ku wszystkim ludom, które im się przeciwstawiły. Walka walką, wojna wojną, lecz czemuż to uważać budowanie państwa swego, okupionego krwią narodów co z tych ziem pochodziły (i prawowicie im się należały), za zgodne z Wolą Bożą?

Zakony rycerskie powstały w obronie wiernych. Czemu więc teraz ich nękają? Zadawałem sobie to pytanie. Odpowiedzi nie mogłem długo znaleźć, a okazała się ona tak prosta, że aż za trudna. Zakonnik bowiem też człowiek i grzechy też popełnia, nawet te najgorsze.

Dziwnym jestem pewnie człowiekiem, gdyż zrozumieć mogę wojowanie w celu władzy pozyskania, lecz jest to walka odważna, „twarzą w twarz”, a nie godne tchórza rozsiewanie informacji nieprawdziwych o przeciwniku, nie podstępny i uczynki niegodne rycerza. Mówiąc to nie wyróżniam tu nikogo. Bo najczęściej robi to jedna i druga strona.

Gdy przybyłem na ziemię pomorskie, moje zdanie o ludziach „ze wschodu” poczęło się zmieniać. Miasta lokowane na prawie niemieckim, wioski, nad którymi krzyż górował, mędrzy co po łacinie rozmowy prowadzili. Zachodnia kultura, a już na pewno chrześcijaństwo swe piętno tu odcisnęło. Wydawało mi się najpierw, że to dziwny kraj będzie, gdy go jednak zobaczyłem całkiem podobny się zdawał do tych co już widziałem. Lecz to pozór tylko był, gdyż tak naprawdę inny on. Język melodyjny, cudacznie brzmiący w uszach, a trudniejszy jeszcze do zrozumienia. Stroje kolorowe, tak różne od mi znanych. Ludzie gotowi zaciekle walczyć, ale też jacyś tacy weseli, a do wspólnego biesiadowania chętni zawsze, a przy tej całej zabawie, szczerzy w uczuciach swych niczym dzieci. A poza tym, jak normalni ludzie – to się uśmiechają, to płaczą, to przytulają, rękę utną czy kielicha na wspólny toast wzniosą albo też miecz, gdy ich dom zaatakujesz.

Podróżując w otoczeniu kamratów trudno mi było dostrzec narodu tego prawdziwą naturę. Wizyta w Gdańsku nie przysporzyła nowych doświadczeń, ni refleksji, a tylko przeświadczenie o tym, że sam siebie chyba nie rozumiem. Poznawać Słowian zacząłem bowiem dopiero gdy samodzielnie na wyprawę się zdecydowałem.

Od czasu wyjazdu do miasta nad morzem parę dni minęło. Po upływie czasu tego, spędzonego w malborskich włościach, postanowiłem znów udać się w podróż, tym razem samotnie, gdyż żaden z moich ziomków nie miał zamiaru mi towarzyszyć. Ruszyłem więc sam, a że nagle ochota na przygody mi się zebrała i zaszumiała w głowie pieśni o walecznych, nie myśląc o niczym, pogalopowałem przed siebie, chcąc jechać w nieznaną. Gnałem tak parę godzin przed siebie, a gdy słońce było już w zenicie, odpocząć zechciałem, gdyż koniec czerwca już się zbliżał, a lato wyjątkowo gorące się szykowało. Zawitałem do jednej wioski, by o wodę poprosić. Żywo tam było, chyba to jakaś okazja nadejść musiała. Gdy jednego chłopca o to spytałem, odrzekł wesoło:

- Noc Kupały! Lato nadchodzi, chłopcze drogi!

Nie miałem pojęcia o czym starzec mógł mówić, a że ciekawość mam wielką, to i zostałem do dnia końca, by ujrzeć coś się dzieć będzie. Jak mi kto inny potem tłumaczył, to dzień miał być śmierci

św. Jana, Noc Świętojańska, lecz lud pamiętał dalej o tradycjach, które były, zanim to je Kościół pozmieniał.

Gdy słońce już zaszło, paleniska wszystkie zgaszono, a niedaleko wody wielkie ognisko rozpalono. Dym gęsty znad stosu się unosił. Ludzie tańczyli wokół niego, śmiali się radośnie. Przeważnie młodzi ludzie, dorośli chłopcy, co skokami nad ogniskiem się popisywali i dziewczęta, w sukniach białych z wieńcami na głowach. Do ogniska wrzucono zioła, co po nich jeszcze bardziej się rozpałiło. Wróżyły przy tym stare babcie, wróżyli i dziadowie, wróżyli wszyscy co się na czarach choć trochę znali. Przepowiadali sobie miłość wielką, urodzajne zbiory na rok następny, zdrowie chcieli zapewnić, lecz to różnie bywa. I choć w niedzielę do kościoła każdy z nich chodzi do wsi pobliskiej, teraz w magię się zabawiali i kto by ich z boku wtedy widział, pewnie by pomyślał, że w konszachty z diabłem weszli. A ja śmiałem się wesoło, gdy mi samemu śmierć bohaterską przepowiedzieli, jak ta w rolandowskiej pieśni. Chętnie przy tej zabawie chwytało za piwo, ale też za miody, które niecodziennie się piło. Potem panny wstały i podbiegły do rzeczki, co niedaleko płynęła, by wianek ze świecą zapaloną puścić w jej nurt. A jeśli jaki kawaler wianek ten wyłowił, panna szybko za męża pójść miała. A była to bowiem noc do kojarzenia się par, jak powiadają, gdzie miłość można było swoją znaleźć. A potem na poszukiwanie kwiatu paproci niektórzy poszli, część z nich parami. O Perunowym Kwiecie nawet ja słyszałem, lecz, że mit mitem, nigdy go nie szukałem. A teraz nawet przez chwilę pomyślałem – może go znaleźć? Nikt nie znalazł...

Następnego ranka, gdy słońce już świtało, w dalszą udałem się podróż, żegnając się z gościnnymi gospodarzami, co noclegu mi użyczyli. Jakaś prosta mi się zdawała ta droga, inna niż, gdy do Gdańska jechałem. Powietrze jakieś bardziej rześkie, strawa bardziej pożywna. Nawet koń mój, najwierniejszy z towarzyszy, jakiś weselszy mi się wydawał. Możliwe jednak było, że to trunki wypite wczorajszej nocy wciąż na mnie działają.

Kolejny raz nie miałem pojęcia dokąd się kieruję. Okolice to była wszakże spokojna i mało ludzi mijalem po drodze. Pod długim czasie dotarłem do osady, mniejszej niż wczorajsza, ale gwarniej w niej było chyba jeszcze bardziej. Zaciekawiony zboczyłem z drogi i wjechałem do wioski, a tam ruch niesłychany. Dziewki biegały od chaty do chaty i głośno między sobą powtarzały:

- Dzisiaj postrzyżyny syna sołtysa!

Starcy w grupie stali i coś wspominali, mężczyźni wracali z pól lub robotę swoją w domach kończyli, nawet dzieci jakieś poruszone były. Niespodziewanie jeden ze starszych zaczął mnie:

- Tyś jakiś dziwny masz ten strój. Z daleka przybywasz?

- Tak – odparłem – I miejsca szukam, gdzie szklanicę zimnej wody można by wypić. Może mi coś poradzicie?

Starzec najpierw zdziwił się, a potem wesoło rzekł mi:

- Dzisiaj postrzyżyny chłopca jednego, więc i picia i jadła będzie ci u nas dostatek!

Zaprosili mnie do domu zarządcy wioski, miłego człowieka, co się zadowolony wydawał z mojego pojawienia się, bym mógł się posilić, a powitano mnie chlebem i solą. Wioskę szybko wtedy plotka obiegła o dobrym znaku, jaki został im dany przez Boga, w postaci cudzoziemca co akurat dzisiaj przybył.

- Dlaczego wszyscy tak moje zawitanie tu tak traktują? – spytałem żony sołtysa - Czy coś to niezwykłego, że podróżnik o wodę prosi? A może to przez te „postrzyżyny”? Cóż one znaczą?

Kobieta zaśmiała się tak samo jak starzec.

- Bystry jesteś mój gościu. – odrzekła mi z rozbawieniem – Wina cała po stronie postrzyżyn leży.

I opowiedziała mi klechdę o początkach państwa polskiego, kiedy na podobnej uroczystości do domu Piasta Kołodzieja zawitało dwóch nieznanomych. A gdy zagadka osobliwego zachowania mieszkańców się wyjaśniła, samemu chciało mi się śmiać. Zaiste przypadek niezwykły, a może jednak sprawa Boga?

Uroczystość rozpoczęła się, gdy słońce ku zachodowi się chyliło. Sporo gości stłoczyło się w izbie jednej. Matka wprowadziła syna, co siedem lat dzisiaj kończył, który przed ojcem stanął w

koszuli Inianej. Włosy do ramion mu sięgały, bo jeszcze strzyżony nigdy nie był. Chłopiec do nóg ojcu upadł, oddając się mu w opiekę. Zarządca zanim go wodą źródlaną skropił, podniósł go, a potem pukiel włosów nożycami odciął. A potem podkreślając powagę sytuacji, zwrócił się do mnie słowami w legendzie zawartymi:

- Niech i wasze ręce uczynią to samo, a usta wypowiedzą imię, jakie odtąd syn mój nosić będzie. Zdziwił mnie gest ten, lecz odmówić nie wypada, wziąłem więc nożyce do rąk i dokończyłem co on zaczął, a nie znając słów lepszych, mowę swą także z podania wziąłem:

- Niech imię jego będzie Siebor, ten który zawsze podejmuje walkę, i niech mu ono sławy przysporzy.

Później znak krzyża nad głową chłopca zrobiłem, następnie pozostali biesiadnicy do niego podchodzili i pasma włosów obcinali. A potem pieśni zaczęli śpiewać. Nie znając słów, nieudolnie próbowałem ich naśladować, nucąc tylko pod nosem muzykę. Ktoś spytał o nadane przeze mnie imię. Odpowiedziałem tylko:

- Szczęśliwym trafem imię to gdzieś ostatnio zasłyszałem. Może kolejny to znak od Pana?

„A może nie?” – dodałem w myślach. Któż bowiem to wie. Po uczcie poczułem, że pora znów wyruszać w drogę. Pożegnałem się ze wszystkimi gości i gospodarzem, a na końcu uściśnięm prawicę Siebora, który od dziś na prawdziwego mężczyznę rósł. Chłopiec starał się zachować powagę, ale dziecięcy uśmiech aż cisnął mu się na twarz.

- Dziękuję. – powiedział.

- Za co? – zdziwiłem się.

- Że byłeś tu dzisiaj. – rzekł, a było to najpiękniejsze pożegnanie jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Opuszczałem wioskę ze świadomością, że coś niezwykłego mnie spotkało. Przeżegnałem się, wsiadłem na konia i pocwałowałem przed siebie.

Podróż moja jeszcze parę dni trwała, gdyż potem do Malborka pora było wracać. Przygotować się. Jako że nadchodził decydujący dzień.

Nadszedł ten dzień z dawna oczekiwany, gdy z rodakami moimi, pośród zakonnych wojsk, stanąłem, gotowy walczyć, aż do śmierci. Więc czemu śmierć nie nadchodzi, nawet nie próbuje mnie nawiedzać? Stoimy na polu, czekając, a przeciwnik w lasach się kryje. Lato z całą swoją mocą daje o sobie znać. Czekamy, lecz nic się nie dzieje, choć odległość jednej strzały od wroga nas dzieliła. Nawet Wielki Mistrz Ulryk się niecierpliwi. Szlochać zaczął, wspominając ile to krwi chrześcijańskiej będzie rozlanej. Nie pora teraz na takie rozmyślania! Widzę jakieś poruszenie w tłumie, Mistrz królowi polskiemu dwa miecze wysłał, by miał on czym walczyć! Cóż za zniewaga dla wojownika! Wtenczas pieśń się rozpoczyna, a z lasu śpiew głośny i mocny nas dochodzi:

Bogurodzica, Dziewica,  
Bogiem sławiona Maryja  
U Twego Syna, Gospodzina,  
Matko zwolena, Maryja  
Zyszczy nam, spuści nam!  
Kyrie elejson.

Twego dzieła Krzciciela, Bożyce,  
Usłysz głosy, napelní myśli człowiecze,  
Słysz modlitwę, jaż nosimy,  
A dać raczy, Jegoż prosimy.  
A na świecie zbożny pobyt,  
Po żywocie rajski przebyt.  
Kyrie elejson.

Bitwa się rozpoczyna...

Rzuciłem się w wir walki. Nie widziałem w tym momencie różnicy pomiędzy chorągwiami litewskimi, a niemieckimi, nie rozpoznawałem rysów twarzy wschodnich i zachodnich, okrzyki w językach różnych nie docierały do mnie. Wszystko takie same się stało, w jedną masę się mieszało. Artyleria zakonna chyba, tylko dwie salwy oddała i zamilkła. Podówczas słyszę zawołanie „Kraków!”. Przypomniał mi się gawędziarz z lisewskiej gospody. Czyżby i podczas tej bitwy okrzyk ten sam? Nowa fala wojsk przeciwnika nas zalewa. Mijają kolejne minuty. Staramy się nie ugiąć kolan pod naporem nieprzyjaciela, a jednak zdobywa on przewagę. Aż tu nagle słyszę, że Litwini uciekają, a siły naszych powracają na główne pole walki.

„Nie poddamy się!” – myślę, choć nie pamiętam nawet, o co walczę. Liczy się tylko zwycięstwo. Czy to nie przerażające, jakimi zwierzętami się stajemy w takich chwilach? Krzyżacy śpiewać zaczynają: „Christ ist erstanden!”, królewski sztandar już prawie zdobywają.

Lecz nie docenili waleczności mężów tamtych. Znów uderzają i zawzięcie walą w tarcze nasze. Nowe oddziały znikąd się pojawiają. Krzyżacy wątpić zaczynają w zwycięstwo. Lecz najemnicy, tacy jak ja i bracia moi, już wiedzą – przegramy. Widzę Gotfryda, zabobonnego chciwca, uciekającego z grupą innych żołdaków. Czy uciec razem z nimi? Tak postąpiłby każdy rozsądny człowiek, chcący przeżyć. Ja natomiast mogę być głupcem, ale z pola walki nie ucieknę. Zostanę, tak mi honor nakazuje. Otoczyli nas. Choćbym miał zginąć, zostanę.

\*\*\*

Zobaczyłem głupca tego, Williama, młodzika dwudziestoczteroletniego, jak mieczem wciąż wymachuje, a pod nogami jego trup szeroko się ścieli. Choć, wie, że za chwilę umrze, stoi tam. Ja nie muszę. Nie to mi obiecywano. Walczyłem w obronie Mistrza Wielkiego, za to mi zapłacono, lecz już wystarczy, tu me obowiązki się kończą. Panie Boże, błogosław swego sługę wiernego i drogę do domu zapewnij mu bezpieczną!

\*\*\*

Przeżyłem.

Z niewoli wykupił mnie najstarszy z francuskich rycerzy, nauczyciel mój, co w bitwie nie brał udziału. Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego Ulrich von Jungingen zginął razem z żołnierzami swoimi. Polacy i Litwini tryumfowali. W jednym jednak Gotfryd rację miał. Malbork, prawdziwy dziw nad dziwy, niezdobyty pozostał.

A ja w podróż kolejną się udałem, znów samotną, bo tak najlepiej mi chyba, by poznać nieznanne kraje i ludzi w nich mieszkających. Po bitwie tej doszła do mnie gorzka prawda, że ludzie zawsze będą się zabijać i krzywdzić, nic na to poradzę. Lecz chciałbym choć trochę to zmienić, chciałbym wszystkim dać do zrozumienia, że inny nie znaczy zły, że można czegoś nie popierać, a godzić się na jego istnienie. Dlatego też wyruszyłem w świat, by nadziwić się tymi wszystkimi rzeczami.

A mój opiekun, Filip, uśmiechnąłby się tylko i powiedział:

- Ludzie jak ludzie, Williamie, co jedno plemię, to inny zwyczaj.

Lecz mnie wciąż pozostaje myśleć, wspominając te dni z uśmiechem na twarzy:

„Jaki dziwny jest ten Wschód!”